

Sławomir Łotysz

„Nowa Holandia” na Polesiu

Koniec mitu

Przez w zasadzie całe dwudziestolecie międzywojenne usiłowano osuszyć poleskie bagna i uczynić z tego regionu „nowa Holandię”. Planów było wiele, jednak żaden nie został zrealizowany.

We wrześniu 1926 roku związany z Wołyniem ziemianin, działacz społeczny i polityczny Szczesny Leon Poniatowski opisywał w „Gazecie Rolniczej” swoje wrażenia z podróży do Holandii. Z okien pociągu widział pastwiska na polderach, które niegdyś były dnem zatoki morskiej. Wszędzie stały schludne, murowane domy i pasło się *rosłe, dobrze utrzymane bydło*. Wszystko to otoczone wałami, ponad którymi pompy parowe i wiatraki usuwały nadmiar wody z kanałów melioracyjnych. Poniatowski wierzył, że wkrótce to samo będzie można zobaczyć na polskim Polesiu, gdzie odłogiem leżało 1,5 mln ha zabagnionych torfowisk. Nawiązywał do mitu rozbudżającego wyobraźnię Polaków przynajmniej od końca XVIII wieku. W 1784 roku król Stanisław August (z którym Szczesny Leon był zresztą skoligacony), wizytując

roboty hydrotechniczne prowadzone z inicjatywy pińskiego sędziego grodzkiego Mateusza Butrymowicza, mówił, że jeśli inni pójdą w jego ślady, to wkrótce z Polesia *czyni się nowa Holandia*.

Gdy w 1921 roku na mocy traktatu ryskiego zachodnia część Polesia (rozumianego jako kraina geograficzna) znalazła się w granicach Rzeczypospolitej, Polacy stanęli przed szansą wcielenia tego mitu w życie. Ta sztuka nie udała się aż do wybuchu drugiej wojny światowej. Nie tylko nie zmeliorowano i nie zagospodarowano tych terenów, ale nawet nie zdołano wypracować spójnej wizji, jak tego dokonać. Przez blisko dwie dekady debatowano o tym, czyje to powinno być zadanie, jak się do tego zabrać i skąd wziąć na to pieniądze. Przedstawiciele sfer gospodarczych chcieli rozwijać na Polesiu wielkotowarowe rolnictwo i karczować

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



Prace przy regulacji Turii w Kowlu

las, a politycy osiedlać małorolnych i bezrolnych chłopów z innych regionów Polski, wbijając w ten sposób klin pomiędzy Białorusinów i Ukraińców. Z kolei obrońcy przyrody i wojskowi chcieli pozostawić poleskie bagna w nienaruszonym stanie, choć z całkowicie odmiennych powodów – tym pierwszym chodziło o zachowanie unikalnego środowiska naturalnego, a drugim o walory strategiczne trudnego do przekroczenia, zwartego kompleksu mokradeł na granicy z wyraźnie wroгим państwem.

INŻYNIERIA DYPLOMACJI

Już w 1917 roku polityk PPS i bliski współpracownik Józefa Piłsudskiego Leon Wasilewski stwierdził, że dla przyszłej Polski bardziej korzystne byłoby włącznie w jej granice Polesia niż Wołynia, a to z powodu zupełnego braku *świadomości narodowej ciemnej masy Poleszuków*. Kluczem do polonizacji tych terenów było osuszenie bagien. Tylko wtedy kilka milionów osadników z ziem etnicznie polskich mogłoby znaleźć tam dom i pracę. Również Piłsudski, który przede wszystkim stawiał na walory obronne „granicy błotnej”, w zdewastowanym wojną Polesiu dostrzegał obszar podatny na polski *silny kolonizacyjny materiał*.

W 1919 roku podczas konferencji pokojowej w Paryżu Polacy bezskutecznie starali się wynegocjować poprowadzenie wschodniej granicy przez środek bagien. Została ona ustalona w tym miejscu dopiero po wojnie polsko-bolszewickiej. Podczas rozmów pokojowych w Rydze w 1921 roku polscy negocjatorzy mieli wytyczne z Ministerstwa Robót Publicznych, aby zapewnić Polsce dostęp do Prypeci w najniższym położonym punkcie jej biegu; im dalej na wschód, tym łatwiejsze wydawało się odprowadzenie z Polesia nadmiaru wody. Zdaniem polityka i publicysty Władysława Studnickiego, aby móc skutecznie odvodnić Polesie, należało się starać o dostęp do rzeki pomiędzy Mozyrzem a Dnieprem. Gdy okazało się, że granica na wschodzie nie sięgnęła nawet Turowa, wielu polskich polityków i inżynierów uznało, że bez porozumienia z Rosjanami zmeliorowanie Polesia jest niemożliwe. Ponieważ jednak uważano, że w sowieckiej Rosji nie ma z kim rozmawiać, sprawa została zamknięta. Chyba że, jak sugerował Studnicki, „poprawić” wschodnią granicę, przesuwając ją na linię Berezyny i Dniepru. Bardziej realne niż te rewizjonistyczne mrzonki były pomysły przerzucenia części wód z dorzecza Prypeci do Bugu, ale także te nie zostały zrealizowane.

Nie wszyscy jednak uważali, że zgoda Sowieców jest niezbędna. Inżynier Tadeusz Tillinger drwił z takich poglądów, pytając retorycznie, czy odwodnienie Polesia byłoby niemożliwe, gdyby za wschodnią granicą *zamiast Rosji było morze*. Jego

zdaniem odpowiednio zaplanowane wyprostowanie i pogłębienie koryta Prypeci pozwoliłoby obniżyć jej poziom w Pińsku na tyle, by rzeka przyjęła wodę z kanałów melioracyjnych; w ten sposób cała kotlina poleska zostałaby odwodniona. Tillinger zalecał również usypanie wzdłuż Prypeci wałów przeciwpowodziowych, co roku bowiem wody wiosennego przyboru zalewały centralną część Polesia, tworząc słynne „pińskie morze”, miejscami szerokie nawet na 40 km. Obwałowanie rzeki wiązało się jednak z ryzykiem powstania dużych spiętrzeń wody tuż za wschodnią granicą kraju. W efekcie rokrocznie Polacy musieliby zatapiać część sowieckiej Białorusi, a należało wątpić, żeby *wschodni sąsiad na to się zgodził*.

URZĘDNICZA KARUZELA

W pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości sprawy melioracji podlegały w Polsce trzem resortom. Regulacje rzek oraz melioracje podstawowe, obejmujące budowę kanałów magistralnych, leżały w kompetencjach Ministerstwa Robót Publicznych, a melioracjami szczegółowymi, czyli prowadzonymi na gruntach ornych i łąkach, zajmował się resort rolnictwa i dóbr państwowych. Z kolei oddzielne aż do 1932 roku Ministerstwo Reform Rolnych zajmowało się tymi inwestycjami, które były niezbędne do przebudowy ustroju agrarnego, czyli głównie parcelacji lub komasacji gruntów. Takie rozbieżności odpowiedzialności prowadziły do chaosu i ciągłych sporów. Powątpiewano wręcz, czy państwo polskie w ogóle jest w stanie podjąć się tak trudnej i złożonej inwestycji. Takie opinie wyrażał m.in. agronom Zdzisław Ludkiewicz, który za przykład pomyślnej inwestycji tego typu podawał melioracje prowadzone przez króla Prus Fryderyka II. Ale on, jak zauważał Ludkiewicz, *był autokratą*, a w Polsce trudno było sobie wyobrazić, by *jedno ministerstwo drugiemu nie przeszkadzało*, nie wspominając o sejmie czy Najwyższej Izbie Kontroli.

W przypadku Polesia chodziło zresztą nie tylko o nieprecyzyjnie określone kompetencje ministrów, ale również o ich ambicje. W pierwszym okresie rządów pomajowych inicjatywę miały resorty rolnicze. Szczególnie sprawnym organizatorem okazał się Witold Staniewicz, intensyfikując, a w praktyce przejmując, realizowaną dotąd wspólnie z Ministerstwem Robót Publicznych inwestycję na bagnach wiadotupickich, gdzie przeprowadzono eksperyment, meliorując i rozparcelowując kilka tysięcy hektarów torfowisk. Staniewicz chciał utworzenia przy swoim resorcie specjalnego urzędu do spraw melioracji Polesia.

Sytuacja zmieniła się, gdy latem 1926 roku na zaproszenie Ministerstwa Robót Publicznych do Polski przyjechali eksperci Ligi Narodów. Mieli

doradzać w sprawie programu dróg wodnych, ale gdy dotarli na miejsce pod koniec czerwca, ministerstwo poprosiło ich dodatkowo o ocenę perspektyw osuszenia Polesia i budowy pozostającej z nią w ścisłym związku drogi wodnej Bug–Prypeć. Ich raport w tej sprawie wzmocnił pozycję środowisk technicznych w toczącej się debacie na temat osuszenia Polesia. Zachodni eksperci potwierdzali techniczną wykonalność takiej inwestycji, a tym samym podnosili wiarygodność koncepcji polskich inżynierów. W ten sposób sedno tej debaty zostało przesunięte z pytania o zasadność inwestycji na kwestie czysto techniczne, na których to oni znali się najlepiej. Z wizerunkowego punktu widzenia dobór składu grupy eksperckiej nie mógł być trafniejszy – wszyscy pochodzili z krajów uważanych za przyjazne Polsce, a Holender Guillaume Nijhof jako jej lider dobrze wpisywał się w odwieczny mit Polaków o urządzeniu na Polesiu „nowej Holandii”.

BAGNO W BIURZE MELIORACJI

Wykorzystując chwilowy zwrot w postrzeganiu melioracji Polesia bardziej jako zagadnienia technicznego niż rolniczego, nowy minister robót publicznych Jędrzej Moraczewski doprowadził w 1928 roku do utworzenia przy swoim resorcie Biura Projektu Melioracji Polesia. Zadaniem tej instytucji było przeprowadzenie wszystkich niezbędnych prac badawczych i pomiarowych, przy-

gotowanie ogólnego projektu melioracji oraz wskazanie źródeł finansowania całej inwestycji. Dyrektorem tej instytucji został Józef Próchnik, który był ministrem robót publicznych w rządzie Moraczewskiego dziewięć lat wcześniej. Biuro miało sporządzić wymagany projekt w ciągu czterech lat i dysponowało budżetem w wysokości 6 mln zł.

Działalność biura było niekończącym się pasmem niepowodzeń. Przygotowując program studiów wstępnych, Próchnik pominął nie tylko wiele autorytetów naukowych od lat zajmujących się badaniem Polesia, ale zlekceważył również kilkuletni dorobek badawczy takich instytucji, jak Państwowy Instytut Geologiczny, Instytut Meteorologiczny czy Centralne Biuro Hydrograficzne. Na początku 1929 roku wdał się w spór ze środowiskiem obrońców przyrody z powodu wyrażanych przez nie obaw, że melioracja Polesia zagrazi tamtejszemu środowisku naturalnemu. Skłócił się także z częścią środowiska inżynierskiego, forsując kontrowersyjne, mało dokładne metody przybliżonego wytyczania kanałów. Dążąc do uzyskania jak najszybciej wymiernych rezultatów, Próchnik polecił rozpoczęcie prac projektowych i terenowych przed ukończeniem studiów wstępnych. Jak sam mówił, to hydrografia powinna dostosować swoje wyniki do gotowych projektów, a nie odwrotnie.

Gdy rozpoczęte w marcu 1933 roku kontrole działalności biura ujawniły skalę nadużyć, do jakich w nim dochodziło, Próchnik został odwołany

Polesie: patrol KOP przy granicy z ZSRR, 1928 rok. Co prawda powstawało wiele planów osuszenia poleskich bagien, jednak wszystkie inwestycje były blokowane przez wojsko – uważano bowiem, że tamtejsze podmokłe tereny pełnią bardzo ważną funkcję strategiczną



ze stanowiska. Po trwającym ponad rok śledztwie postawiono mu kilka zarzutów, m.in. niedbalstwa urzędniczego i wyludzenia nienależnych diet. Ponadto śledczy obarczali Próchnika symboliczną odpowiedzialnością za *zdepopularyzowanie idei melioracji Polesia i zmarnowanie wysiłków personelu oraz jego zniechęcenie*.

NOWA STRATEGIA

Na wiosnę 1934 roku Biuro Projektu Melioracji Polesia zostało rozwiązane, a jego kompetencje przejęło Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych. Tam też trafiły wyniki studiów geologicznych, hydrologicznych i gleboznawczych oraz wykonany w biurze ogólny plan melioracji Polesia. W ministerstwie uznano ten projekt za bezużyteczny głównie dlatego, że opierał się na niepełnych danych (nie wszystkie badania wstępne zostały ukończone). Poza tym plan dotyczył melioracji podstawowych, a w resorcie uważano, że choć to konieczny etap zagospodarowania Polesia, to jednak skupienie się na nim pochłonęłoby ogromne sumy, nie przynosząc prędko wymiernych korzyści – te mogły przynieść dopiero melioracje szczegółowe. Jesienią 1936 roku Stefan Rychłowski, który w ministerstwie odpowiadał za sprawy melioracji Polesia, ogłosił nowy plan. Melioracje miały być prowadzone etapami w dorzeczach kolejnych rzek, niezależnie od prac regulacyjnych na Prypeci. Specyficzna budowa geologiczna Polesia umożliwia realizację tego pomysłu. W praktyce można było niezależnie od siebie odwadniać sąsiadujące ze sobą bagna.

Nowa strategia zakładała odejście od klasycznego paradygmatu, jakim było ułatwienie odpływu nadmiaru wiosennych wód, głównej przyczyny zabagnienia. Zamiast tego zamierzano zatrzymać wody tam, skąd napływały, czyli na Wołyniu. Miały do tego służyć wielkie zbiorniki retencyjne, projektowane w górnych biegach południowych dopływów Prypeci. Woda zmagazynowana na wiosnę miała być uwalniana stopniowo, poprawiając tym samym warunki żeglugowe na tej głównej arterii wodnej Polesia. Takie rozwiązanie pozwalało na sztuczne nawadnianie w okresach suchych oraz przrzucanie wód z jednej zlewni do innej, gdyby wymagało tego utrzymanie produkcji energii w zakładach hydroenergetycznych.

Ogłaszając nową strategię, Rychłowski podważył wszystkie dotychczasowe szacunki dotyczące możliwości rozwoju osadnictwa na Polesiu. Powoływał się na badania statystyczne przeprowadzone przez Ludwika Grodzickiego. Wynikało z nich, że po upełnieniu karłowatych gospodarstw miejscowej ludności na osuszonych mokradłach dom i pracę znajdzie najwyżej 250 tys. osadników, a nie miliony, jak przez lata zapewniali politycy. Prasa

obwieściła koniec legendy o kolonizacji tych terenów. Rozczarowanie musiało być duże, skoro Grodzicki, który przecież tylko podał wyniki obliczeń, doczekał się miana przeciwnika osuszenia Polesia.

KONIEC MITU

Nic dziwnego, że w takiej atmosferze powtarzany od lat dogmat o priorytetowym znaczeniu zadania osuszenia Polesia coraz częściej był kwestionowany. Przeszło połowa wszystkich gruntów rolnych w Polsce wymagała odwodnienia w różnym stopniu. Pod koniec lat trzydziestych niektórzy ekonomiści zaczęli rozpowszechniać pogląd, że w pierwszej kolejności należało intensyfikować produkcję rolną na terenach już zagospodarowanych, głównie w województwach zachodnich, położonych dalej od sowieckiej granicy, skąd przede wszystkim spodziewano się agresji.

Ten argument współbrzmiał z tradycyjnym poglądem na bagna jako skutecznej przeszkody terenowej w działaniach militarnych. Gen. Władysław Sikorski, który dowodził na Polesiu podczas wojny z bolszewikami, określał je mianem *klucza strategicznego frontu wschodniego*. Nie chodziło tylko o to, że poleskie bagna stanowiły trudną do pokonania zaporę, ale też o to, że rozdzielały front każdej toczącej się na tym terenie wojny na dwa teatry działań, północny i południowy. Utrudniało to zadanie stronie atakującej, zmuszając ją do rozdzielenia sił, obrońcom z kolei ułatwiała obronę. Kierując się tym założeniem, polskie władze wojskowe blokowały wszelkie inwestycje melioracyjne podejmowane na ziemiach wschodnich w ogóle, a na Polesiu w szczególności. To prowadziło do ciągłych sporów z Nowy plan melioracji Polesia ogłoszony przez Ministerstwem Rolnictwa, które nie mogło nawet dokończyć rozpoczętych już robót.

Nowy plan melioracji Polesia sporządzony przez Rychłowskiego w 1936 roku mógł pogodzić sprzeczne interesy ekonomiczne oraz obrony państwa. W czasie pokoju planowane zbiorniki retencyjne mogły służyć jako stawy rybne, a w razie wojny do wykonywania zalewów utrudniających poruszanie się nieprzyjacielskich wojsk. Chociaż jednak pomysł budowy spiętrzeń przypadł do gustu wojskowemu, to aż do wybuchu wojny nie zgodzili się oni na liberalizację polityki melioracyjnej na ziemiach wschodnich. W ostatnich kilku latach Drugiej Rzeczypospolitej w budżecie Ministerstwa Spraw Wojskowych więcej pieniędzy przeznaczano na przygotowanie zalewów, niż resort rolnictwa wydawał na prace melioracyjne. ■

Agnieszka Rybak, Anna Smółka

Światło Polesia

W okresie międzywojennym Brześć pełnił rolę wizytówki Polesia. Został odbudowany i zmodernizowany zaskakująco szybko, zważywszy, że był przecież stolicą najbardziej zacoфанego z województw Drugiej RP.

Zdjęcia Brześcia z 1919 roku przywodzą na myśl Warszawę z roku 1945: żadnych budynków, same gruzy i resztki nadpalonych desek. Rosjanie opuścili miasto bez walki cztery lata wcześniej, na odchodne podkładając ogień – Brześć spłonął w 80 proc. Obok Kalisza było to najbardziej zniszczone miasto na ziemiach Drugiej RP. Z 3600 domów aż 2500 było w rozsypce. Miasto miało jednak ważny atut – stację kolejową z węzłem łą-

czącym cztery linie: smoleńską, kijowską, grajewską i warszawską, a Niemcy podczas okupacji zmienili rozstaw torów na europejski. Dlatego Brześć wygrał ze zniszczonym pożarem Pińskiem wyścig o tytuł stolicy województwa poleskiego.

W lutym 1919 roku do Brześcia w imieniu Rzeczypospolitej wkroczył słynny zagończyk Jerzy Dąbrowski. Kiedy w tym roku ruszyła odbudowa miasta, po Polesiu hulali bolszewicki dywersanci,

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



Fragment kolonii
urzędniczej w Brześciu

przez granicę płynęli przemytnicy, repatrianci z Rosji i szpiedzy. Szalały tyfus i grypa, brakowało lekarzy. Ludność potrzebowała żywności i domów. Rząd miał świadomość, że obywatele utożsamiają siłę państwa ze skuteczną administracją. Zainicjował więc program budowy domów dla urzędników państwowych, który miał się stać kołem napędowym rozwoju regionów. Na Polesiu ruszył wiosną 1921 roku. Władze Brześcia wyznaczyły miejsce dla kolonii urzędniczych. 29 sierpnia 1921 roku minister robót publicznych Gabriel Narutowicz przyjechał do miasta wmurować kamień węgielny. Przyszły prezydent zwykł był mawiać, że *inżynier doznaje tej przyjemności, jaką ma Bóg*, patronował jednak inicjatywie, której daleko było do doskonałości stworzenia świata. Kolonia Tartak to siedem prostych budynków drewnianych, dwa baraki i dziewięć pomieszczeń gospodarczych. Standard? Ustępy na zewnątrz, wodę trzeba nosić z podwórka. Luksus w brzeskim wydaniu to zadaszony kawałek podłogi wystarczający na postawienie łóżka.

PROJEKT W KRATKĘ

Na początku wszystkie urzędy wojewódzkie z wyjątkiem sądów i władz diecezji (te oddano na pociechę Pińskowi) musiały się zmieścić w ostańcach Brześcia. Poleskie Biuro Odbudowy cisnęło się więc w jednej wspólnej izbie z Okręgowym Biurem Robót Publicznych. Ktoś na kartce narysował prostokąt, zamalował kwadrat, przy drugim mocniejszą kreską podkreślił jedną linię. Wyglądałoby to na grę w okręty, gdyby nie podpis: *gabinet Dyrektora w Poleskiej Okręgowej Dyrekcji Biura Odbudowy Polesia ma mieć 33,57 metrów i sąsiadować z pokojem sypialnym – metrów 19,44*. Takie były plany. Ambicje podsycali dziennikarze lokalnych gazet. W Pińsku miała stanąć wieża Eiffla, „Dziennik Brzeski” donosił o 100 szkołach pomnikach, które wkrótce mają powstać na Polesiu.

W Brześciu utworzono specjalną komisję, która miała zdecydować, co odbudować, a co wyburzyć. Po części jej wskazania były polityczne, Brześć pod carskimi rządami nabył bowiem rosyjskich ozdobników. Podczas wojny *ohydne budowle o jaskrawych fasadach, upstrzonych ornamentacją w rosyjskim guście* przestały jednak istnieć. Komisja miała czuwać nad oczyszczeniem pozostałych budynków ze wschodnich detali, np. z bryły dworca kolejowego zniknęły charakterystyczne wieżyczki. W przestrzeni publicznej miał je zastąpić nowy polski ład. Na tę chwilę polscy architekci czekali od początku XX wieku, kiedy w Europie zaczęto poszukiwania stylu narodowego. *Architekt i społeczeństwo muszą zrozumieć wielką misję tej sztuki w kształceniu ducha narodu. Muszą oni zrozumieć, że wszelki objaw architektury przeprowadzony w życiu staje się wyrazem ducha narodu na zewnątrz, staje się*

dokumentem, na który pokolenia całe z uwielbieniem albo przekleństwem spoglądać będą – pisał w 1915 roku Tadeusz Zieliński. Polacy odwoływali się i do sztuki ludowej, i do szlacheckich dworków.

Nowe osiedle dla urzędników państwowych w Brześciu zaprojektowane przez Juliana Lisieckiego wyglądało jak z ilustracji do *Pana Tadeusza*. Pierwszych pięć budynków, które powstały w 1925 roku przy ul. Pułaskiego, było jest jeszcze drewnianych, ale pozostałe 20 to oddalone od siebie na bezpieczną odległość solidne wille w stylu dworkowym z podcieniami w narożach i czerwonymi łamanymi dachami. Każdy budynek odznaczał się specjalnie stworzonym przez artystę rodzajem ozdóbki – godłem. Dla mieszkańców osiedla przeznaczono miejsce rozrywki – budynek kasyna w stylu monumentalnego klasycyzmu. Osiedlała się tu urzędnicza elita miasta. Pozostali mogli tylko podziwiać i zazdrościć.

Wkrótce w ślady urzędników poszło wojsko – kolonia dla oficerów powstała przy skrzyżowaniu ul. Unii Lubelskiej z Nowojagiellońską. Także była utrzymana w stylu dworkowym. Dziennikarz z Pińska grymasił, że wnętrza ciasne, niehigieniczne i budowane tandetnie, a pretensjonalne fasady domków przypominają arkę Noego. Narzekał na niezgrabny front ze zbyt ciężkim balkonem, wsparty na rachitycznych kolumnienkach. Przyznawał jednak: *Cała ta „odbudowa” ze swoją nędzą, głupotą, brakiem smaku [...] jest jednak pomimo wszystko czynnikiem polszczenia Brześcia, bo umożliwia egzystencję elementowi kulturalniejszemu i przybyszom z innych dzielnic Polski*.

MIASTO JAK OGRÓD

W tym samym czasie przy ul. Unii Lubelskiej, stanowiącej kręgosłup miasta i jego wizytówkę, ruszyła budowa reprezentacyjnych siedzib instytucji publicznych. *Chodziło o stworzenie pejzażu miejskiego oraz wprowadzenie dominant architektonicznych godnych miasta wojewódzkiego* – ocenił po latach autor książki o architekturze kresowej Michał Pszczółkowski. Pierwszy był Bank Polski, a jego bryła odcisnęła piętno na wyglądzie miasta. Łagodnie obejmował on neoklasycystycznymi skrzydłami róg ul. Pułaskiego z dworkowymi domami, tworząc bramę, która prowadziła z centrum do urzędniczego osiedla. Wnętrze banku robiło wrażenie na klientach: przestronną salę operacyjną podtrzymywały kolumny oddzielające poczekalnię od kas. W strefie zastrzeżonej dla biznesu bywali lokalni przemysłowcy. Bank to wzór dobrego smaku, reprezentacyjności, solidności i powagi.

Kolejnym etapem odbudowy było zazielenianie. Modna koncepcja Ebeneзера Howarda, by tworzyć miasta ogrody jako odpowiedź na slumsy, uprzemysłowienie i przeludnienie, była realizowana



Gmach Banku Polskiego, pierwszego reprezentacyjnego gmachu publicznego w Brześciu

także w Brześciu. W centrum budynku odsunięto od ulic, posadzono pasma drzew i zieleni. Latem zamieniały się w zacienione aleje spacerowe i przydawały miastu szlachtetnego uroku.

Brześć, przecięty szerokim torowiskiem, spajał wiadukt przy dworcu kolejowym. Wychodził wprost na Steckiewicza – ulicę restauracji, herbariarni, piwiarni i hoteli. Mieściły się tam także redakcje gazet i drewniany domek – pensja pani Górskiej, czteroklasowa szkoła podstawowa, najlepsza w mieście, prowadzona przez wdowę po rosyjskim generale. Opłaty w niej były równie wysokie jak poziom nauczania. Uczniów nazywano krasnoludkami – od czerwonych berceków i kokardek przy mundurkach. Ale z powodu napływu ludności do szybko rozwijającego się miasta Brześć miał problem ze szkołami. Przy ul. Wojewódzkiej na potrzeby kolonii urzędniczych powstała świetnie wyposażona, nowoczesna Szóstka. Podobno sam Wacław Kostek-Biernacki wspierał jej budowę, bo kierownikiem szkoły była koleżanka jego żony. Budynek miał nowoczesne okna, piękne, błyszczące parkiety. I unikatową ubikację – bez sedesów, ale ze spuszczaną wodą.

W mieście brakowało też szkół średnich. Jedyne państwowe gimnazjum im. Romualda Traugutta zostało ulokowane w budynku dawnego gimnazjum rosyjskiego, naprzeciw cerkwi brackiej. Słynęło ze znakomitego poziomu. Po reformie edukacji w 1932 roku Traugutt stał się gimnazjum i liceum. Niezamożni mogli się starać o zmniejszenie lub zwolnienie z chesnego, nie płacili go nauczyciele, funkcjonariusze państwowi i wojskowi. Nieopodal był ogród botaniczny i pracownie robót ręcznych

– dla dziewcząt szwalnia, dla chłopców pracownia stolarska. Choć duża część uczniów dojeżdżała na zajęcia na rowerach, starsze klasy uczyły się jazdy samochodem.

KAWA, CHAŁWA, MURZYN

W latach trzydziestych, po wielkim kryzysie, niektóre części Brześcia stały się już ekskluzywne. Ul. 3 Maja nazywło się krainą czarownych zapachów – piekarni, cukierni, owocarni, sklepów z wędlinami oraz smakowitego owocowego kwasu Haberbuscha. W sklepach mleczarskich ze śmietaną, serem, masłem unosił się zapach twarożku. W sklepie kolonialnym, gdzie przed wejściem stała atrapa Murzyna, czuć było kawę i słodycz chałwy. Oficerowie nie mogli nieść w rękach paczek cięższych niż pół kilograma – od tego byli ordynansi. Gdy więc robili zakupy – co zdarzało się rzadko – paczuski z szynką obwiązywane sznureczkiem nieśli na patyczku, żeby nie trzymać ich w dłoni.

Rozwijało się życie towarzyskie. *Im jaśniej stawało się na dworze, tym różowsze były humory. Zaczęto wreszcie bawić się bronią – tak przytem niefortunnie, że jeden z cywilnych został ciężko ranny szabłą w pierś, przyczem została uszkodzona arteria* – donosiła prasa o pewnym wieczorze w kasynie oficerskim. Do Klubu Obywatelskiego aktor scen warszawskich Janusz Ściwiarski sprowadził rosyjską śpiewaczkę Olę Argusińską. Dancingi trwały do rana. W niedzielę, gdy szeregowi i kaprale mieli wolne, przyjeżdżali kolejką na potańcówki, by poznać jakąś pannę – w Brześciu żartowano, że każda służąca nosi ze sobą kotlet schabowy na sercu.

Konkurencja w postaci Kaskady, z kabaretem i tancerkami ze szkoły baletowej Tacjianny Wysockiej, wyrosła w 1937 lub 1938 roku. Wieczorki taneczne odbywały się też u pana Wachlowskiego, w każdą sobotę przez cały karnawał. Ale największy splendor to Klub Obywatelski – na karnawałowych balach bawiło się i 200 osób.

Zmiany widać było także w przestrzeni miejskiej. Budynki w Brześciu wyrosły ze stylu narodowego niczym z choroby wieku dziecięcego, by poddać się nowym trendom architektonicznym. Pojawił się neoklasycyzm w odmianie rewolucyjnej, czyli gmach Izby Kontroli Państwa. Surowy fronton, inspiracje kubizmem, filary w okowach. W tylnej części znajdowały się mieszkania dla urzędników. *Interesujący i stosunkowo rzadki* – doceni obiekt po latach Michał Pszczółkowski.

Do głosu dochodziło kolejne pokolenie architektów. Inspirowali ich Amerykanie, Francuz Le Corbusier, socjalista, który wymyślił *maszyny do mieszkania*, architekturę dla mas. Józef Barański, wykładowca w brzeskiej szkole technicznej, od lat projektował dla Brześcia. Jako jedyny na tym terenie miał własną pieczęć i wszelkie uprawnienia architektoniczne. Hołdował idei funkcjonalizmu Louisa Sullivana: formę musi wyznaczać funkcja. Zaprojektował nowy gmach szkoły technicznej, kościół ewangelicko-augsburski, szpital miejski, budynek Kurateli Brzeskiego Okręgu Szkolnego i kilka willi. Wszystko w geometrycznych kształtach, by sprostać ekonomicznie budowy.

Kościół katolicki projektu Barańskiego wybudowano między dworcem a porosyjskim szpitalem kolejowym na nietypowym trójkątnym placu, na którym stał już ceglany parterowy budynek z dużymi oknami. Architekt wpadł więc na pomysł, by wybudować *świątynię-lokomotywę*. *Możliwe, że architekta natchnęły prawosławne cerkwie-wagony poruszające się po frontach I wojny światowej* – pisał prof. Mikołaj Własiuk. Barański umieścił budynki symetrycznie, jeden za drugim. „Ciągnęła” je nawa główna świątyni – „lokomotywa”. Plebania przypominała pomieszczenie z węglem, okna w ołtarzu nawiązywały do kabiny maszynisty. Chrystus prowadził stamtąd ludzi ku niebu.

Jednak największą zagadką był budynek Kasy Chorych w Brześciu przy ul. Unii Lubelskiej. Zaprojektował go Szymon Syrkus, założyciel awangardowej grupy Praesens, która stała się polskim

przedstawicielstwem Congrès Internationaux d'Architecture Moderne. Młody architekt miał w oczach europejską awangardę z Weimaru, Paryża, Berlina i czuł wyższość wobec kolegów, którzy schlebiali mieszczańskim, przedwojennym gustom. W jaki sposób zawędrował do Brześcia? Nie wiemy. Pewne jest, że zaprojektował budynek o asymetrycznie kubistycznych ścianach, którego dominantą była półokrągła przeszklona klatka schodowa. Wszystko zostało przykryte płaskim dachem.

W 1935 roku Michał Marczak, autor *Przewodnika po Polesiu*, napisał o Brześciu: *Z przedwojennej patyny zdołał się już w przeważnej części wyzwolić. Wytyczenie szerokich zadrzewionych ulic w postaci regularnej siatki, oświetlenie elektryczne, częściowe urządzenie wodociągowe, kostki, chodniki, bruki, dwa duże parki i piękny bulwar nad Muchawcem coraz więcej upodabniają miasto do zachodnich.*

W 1938 roku „Dziennik Brzeski”, podsumowując 20-letnie inwestycje, pisał o zabrukowaniu na Polesiu 51 osiedli i budowie 237 gmachów państwowych, które kosztowały 12 mln zł. Jednym z nich była godna siedziba urzędu wojewódzkiego. Największy i najbardziej monumentalny ze wszystkich miejskich gmachów zgodnie z zasadą funkcjonalizmu był prosty, ciężki, ale wykonany z dbałością o detale i standard materiałów. Przez wysokie okna sali reprezentacyjnej władza może zerkać na ulicę. W pracy wojskowego architekta Stanisława Papiewskiego widać surowość charakterystyczną dla budownictwa Trzeciej Rzeszy, ZSRR i Włoch Mussoliniego. Plac przed urzędem pełnił funkcję reprezentacyjną. Każdego 3 maja i 11 listopada stawała na nim trybuna, na której lokalni dygnitarze przyjmowali defiladę.

Trybuna, tym razem ozdobiona swastykami i czerwonymi gwiazdami, pojawiła się w tym miejscu 22 września 1939 roku. Stanęli na niej dwaj słynni czołgiści – gen. Heinz Guderian i kombryg Siemion Kriwoszejn. Kamera anonimowego fotografa uwieczniła szeroki uśmiech Guderiana i nieco bardziej powściągliwy Kriwoszeina. Była godz. 16, pogoda dopisała, a ul. Unii Lubelskiej maszerowali wyprężeni służbiście niemieccy i sowieccy żołnierze. ■

AGNIESZKA RYBAK, dziennikarka, absolwentka Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego

ANNA SMÓŁKA, absolwentka Wydziału Historii Uniwersytetu Warszawskiego

NAGRODY!

Wejdź na stronę www.mowiawieki.pl
i weź udział w konkursie
związanym z cyklem
„Ludzie i pieniądze: od pierwszej
do drugiej wojny światowej”

Projekt realizowany
z Narodowym Bankiem Polskim
w ramach programu edukacji ekonomicznej

NBP Narodowy Bank Polski